Tadeusz STYCZEŃ SDS

# RODZINA ŹRÓDŁEM I SZKOŁĄ ŻYCIA[1]

*Wszystko zdaje się wskazywać, że rak, toczący tkankę współczesnego społeczeństwa ludzkiego we wszystkich kondygnacjach i wiązadłach jego budowli [...], zapuścił swój korzeń w obręb rodziny, komórki życia społecznego – i tam wcale nie został przezwyciężony.*

Nikt bodaj nie zechce zaprzeczyć, że rodzina jest źródłem życia. Wszak rodzina przez to właśnie jest rodziną, że rodzi, że daje początek życiu nowego człowieka, że życie to chroni i pielęgnuje, że je zabezpiecza i troszczy się o nie. Człowiek rodzi się przez rodzinę i w rodzinie. To przecież oczywistość – powie każdy.

Nikt też zapewne nie zechce zaprzeczyć temu, że rodzina jest szkołą życia. Wszak to ona właśnie jest w pierwszym rzędzie akuszerką owych drugich, duchowych narodzin człowieka, narodzin nie mniej ważnych od tych pierwszych, tych, o których mówił Chrystus do Nikodema w czasie ich nocnej rozmowy: „Trzeba wam się powtórnie narodzić" (J 3, 7). Wiadomo bowiem, że z czasem każdy z nas musi wziąć sam na siebie rolę swego duchowego rodziciela, przejąć odpowiedzialność osobistą za dzieło swego samospełnienia, dokonujące się wyłącznie mocą własnego rozpoznania prawdy o sobie, mocą samopozania, oraz mocą jej wolnego wyboru, mocą utożsamienia się z samym sobą aktami wolności. Nikt w tym nikogo nie zdoła wyręczyć. Nawet Bóg, który nas stworzył bez nas, nie zbawi nas bez nas – zauważa św. Augustyn. Persona est sui iuris, dodaje szacowna tradycja, est alteri incommunicabilis. Wiadomo jednak, jak bardzo można ułatwić drugiemu zobaczenie siebie. Tytułem przykładu wystarczy tu przywołać kulminacyjny punkt rozmowy Natana z Dawidem. „Kto jest tym człowiekiem?" – pyta Dawid, by przeżyć zaraz wstrząsające olśnienie samopoznania w momencie odpowiedzi Natana: „Ty jesteś tym mężem!" (por. 2 Sm 12, 7). Ale takie olśniewające rozmowy możliwe są tylko pośród bardzo sobie bliskich osób. Chodzi o atmosferę, w której one odkrywają i przeżywają swą jedyność i niepowtarzalność[2]. I tu właśnie rola rodziny jako najbliższego środowiska

[1] Niniejszy artykuł prezentuje tekst odczytu wygłoszonego 3 XII 1990 r. w ramach sympozjum: *Tak – życiu. Tak – prawdzie*, zorganizowanego przez Instytut Studiów nad Rodziną ATK w Warszawie-Łomiankach, z okazji uroczystości piętnastego roku jego istnienia.

[2] Por. Karol Kard. Wojtyła, *Rodzina jako communio personarum*, „Ateneum Kapłańskie" 66 (1974) z. 3, s. 347-361, oraz tegoż autora: *Rodzicielstwo jako communio personarum*, „Ateneum Kapłańskie" 67 (1975) z. 1, s. 17-32.

ludzkiego jest jedyna i niezastąpiona. Ona więc przede wszystkim staje się tą szkołą, w której człowiek uczy się tak patrzeć na siebie, by zobaczyć siebie, i aby widząc umiał przyjąć to, co zobaczy. Jest więc szkołą, w której człowiek dojrzewa swe człowieczeństwo, i szkołą, w której dojrzewa on do swego człowieczeństwa, do tej decyzji, która staje się jego życia przełomem, datą jego nowych narodzin. I znowu chodzi tu o oczywistości.

W sumie, rodzina jest rodziną, gdyż rodzi człowieka rodząc go fizycznie: jest źródłem jego życia, i pomagając mu urodzić się samemu duchowo: jest szkołą życia.

A przecież słowa: „rodzina źródłem życia" – „rodzina szkołą życia", wypowiadane dziś, brzmią niczym prowokacja. Są wyzwaniem. Nigdy bodaj przedtem ich normatywne znaczenie nie kłóciło się tak radykalnie, czyli u samych korzeni, jak dzisiaj z ich faktycznym znaczeniem. Poddajmy się w tym miejscu błyskawicznemu testowi w postaci pytania: Czy dla kogoś z nas tutaj obecnych jest rzeczywiście aż tak wielkim zaskoczeniem rodzina, która zabija tych, których rodzi? Czy nie mamy w gronie swych znajomych, a może nawet wśród swoich przyjaciół, osób, które walczą o prawo rodziny do zabijania swych dzieci? Odpowiedzmy sami sobie na to pytanie. A przecież fenomen rodziny zabijającej tych, których rodzi, nie przestaje przez to ani na moment być czymś absurdalnym, niedorzecznym, a więc czymś, co w świecie człowieka – istoty racjonalnej i wolnej – winno być absolutnie niemożliwe. A czy nie jest możliwe? Contra factum nullum argumentum. Jaki jest więc wynik naszego testu? Czego jest on znakiem?

Oto jak niepostrzeżenie dla nas samych stajemy się ofiarami statystycznej moralności: to, co faktyczne, to normalne, a co normalne, to moralne. Światło oczywistości rozumu zostaje niejako porażone siłą oczywistości faktu. Rozum zaczyna objawiać swą niemoc – w nas – wobec mocy faktu. Siła faktu zdaje się sobie kpić niejako z rozumu urągając jego prawdzie i normie. Stąd też krok tylko do enuncjacji takiej jak ta oto: życie jest silniejsze od logiki. Wystarczy, że na dodatek jeszcze Hegel podpowie: „To, co faktyczne, jest rozumne", byśmy uwierzyli, iż jest to jedyna forma rozumności, na jaką wolno nam sobie pozwolić...

Tylko gdzie wówczas jeszcze miejsce na: „Plus ratio quam vis", któreśmy – w imię kultury – przez tyle wieków przeciwstawiali prawu dżungli: „Plus vis quam ratio", i którym nieugięcie odpowiadaliśmy w ciągu dziejów na zakusy i wyzwania różnych odmian „Cuius regio eius religio"? Jak zdajemy w tym miejscu egzamin w świetle kryterium wolności, któreśmy na nowo tak olśniewająco jasno i uroczyście, i tak dramatycznie zarazem przypomnieli samym sobie i światu w latach zwycięskiego zmagania z totalitaryzmem: „2 + 2 musi być zawsze cztery!"? Gwałci wolność, kto gwałci prawdę! Zadeptuje swe sumienie, kto prawdę usiłuje pod-

dać swej wolności! Oto cośmy chcieli podkreślić jako warunek sine qua non ocalenia własnego człowieczeństwa, naszej ludzkiej godności. Aby – ocknąwszy się – nigdy już nie zapomnieć tragicznej lekcji zniewolenia i samozniewolenia. By na zawsze zapamiętać. Czy nie po to był ten krzyk „Solidarności" znad Bałtyku?

Jak zatem w kontekście tego wszystkiego wygląda dziś nasza teza tytułowa: „Rodzina źródłem życia – rodzina szkołą życia"? Czy nie należałoby jej zamienić na tezę: „Kres rodziny jako źródła życia i szkoły życia"?

Trzeba się tej prowokującej do namysłu konstatacji uważnie – i odważnie – przyjrzeć. Bez postawienia trafnej diagnozy schorzenia współczesnej rodziny, wszelka terapia okaże się mało skuteczna. Kto wie, może sam diagnosta musi w pierwszym rzędzie zadbać o wzmożenie siły swego spojrzenia? Przypomina się tu Chrystusowe: „Lekarzu, ulecz samego siebie!" (Łk 4, 23). Trzeba nam, jak się zdaje, w momencie euforii zwycięskiego przełomu w walce ze światowym totalitaryzmem sięgnąć przenikliwym wzrokiem aż do miejsca – najważniejszego z ważnych – do którego zdołał się wedrzeć i głęboko w nim swój korzeń zapuścić duch-upiór współczesnego totalitaryzmu.

Korzystamy tu z formuły słownej Hanny Arendt: „k o r z e n i e w s p ó ł c z e s n e g o t o t a l i t a r y z m u" (z czego nie musi oczywiście wynikać, że sama autorka tej formuły widzi dokładnie ten korzeń). Wszystko zdaje się wskazywać, że rak toczący tkankę współczesnego społeczeństwa ludzkiego we wszystkich kondygnacjach i wiązadłach jego budowli polega na próbie zdominowania prawdy przez wolność, że zapuścił swój korzeń w obręb rodziny, komórki życia społecznego, wtargnął dosłownie w samo jej łono, i tam właśnie wcale nie został przezwyciężony. Przeciwnie, szerzy w niej swe niszczycielskie dzieło. R o d z i n a z a b i j a j ą c a t y c h, k t ó r y c h r o d z i, i p r e t e n d u j ą c a – w i m i ę w o l n o ś c i – d o t e g o, ż e m a p r a w o t o c z y n i ć...

Mówi się dzisiaj często, nawet w dokumentach Magisterium, o tzw. z ł u s t r u k t u r a l n y m, a nawet s t r u k t u r a l n y m g r z e c h u, o s t r u k t u r a c h g r z e c h u. Wydaje się to chyba uzasadnione w przypadku banalizowania, a nawet próby usprawiedliwiania, czy wręcz uprawomocniania absurdu tam właśnie, gdzie znajduje się najgłębsze źródło i fundament dźwigający wszystko i decydujący o spoistości wszystkiego, co nazywamy społecznym ładem i porządkiem. Czy aprobata dla absurdu w miejscu, które jest spoidłem całej tej struktury, nie jest aprobatą dla jej całkowitej dekompozycji, dla destrukcji całej budowli? Czy może być zatem mowa o ratunku dla ludzkości bez przezwyciężenia zagnieżdżonego w tym właśnie miejscu – w rodzinie – absurdu, noszącego wszelkie znamiona totalitaryzmu?

Wydaje się, że instytut „q u i c u r a m f a m i l i a e h a b e t", czyli instytut, którego racją bytu jest troska o rodzinę, winien w obecnej sytuacji swą pierwszą troskę zwrócić w tę właśnie stronę. Bo jeśli próba tej diagnozy jest

trafna, to czy jest w świecie sprawa od niej ważniejsza? Nie czas myśleć o różach w ogrodzie, gdy lasy dokoła płoną i niebawem pożar pochłonie ogród wraz z różami. Należy podjąć globalną i natychmiastową akcję ratunkową. Lecz zacząć trzeba od precyzyjnego rozpoznania choroby. Pozostańmy więc przy diagnozie.

Wstępnie została ona już postawiona: rodzina, która zabija tych, których rodzi, to absurd. Jego wybór przez istotę rozumną i wolną to akt moralnego samounicestwienia. Śmiercionośny cios zadany przez rodzącego rodzonemu przez siebie człowiekowi to dla człowieka rodzącego cios moralnie – i to w sposób nieuchronny – samobójczy. Ale nie koniec na tym. Wybór tego absurdu ulega bowiem spiętrzeniu przez to, że staje się początkiem walki o prawo dla niego – w imię wolności. Wypada nam zatem bliżej zbadać jego samonapędzającą się dynamikę, logikę jego samonakręcającej się ekspansji. Słowo „logika" nie wydaje się może na miejscu dla charakterystyki czegoś, co jest absurdem, ale – przypomnijmy *Hamleta* – „w tym szaleństwie jest metoda". Gurges gurgitem vocat. Absurd wywołuje absurd. Sprawca absurdu bowiem nigdy nie jest – na szczęście! – pewny swego. I jego dzieło, i on sam potrzebuje podpórek dla tego, co się wskutek nie-logiki samo rozsypuje. Szuka więc pomocy, szuka wspólników w batalii o prawo do absurdu. Szuka i znajduje ich. Nic bardziej od „złej wiary" nie szuka usprawiedliwienia dla siebie. W taki oto sposób absurd o totalitarnych znamionach, zagnieżdżony w rodzinie, a więc w postaci prawa do zabijania tam, gdzie się rodzi, wywołuje – ze względu na zupełnie szczególne miejsce rodziny w tkance społeczeństwa ludzkiego – niesłychanie spiętrzoną spiralę i rozpędem swej dynamiki przybiera rozmiary zjawiska wojny totalnej o zasięgu globalnym. Niedawno Polskie Radio podało za Radiem Watykańskim do wiadomości, że w Brazylii ginie co roku na polu tej bitwy cztery miliony istnień ludzkich. Polem tej najbardziej morderczej i najbardziej bezszelestnej ze wszystkich wojen jest właśnie łono rodziny. Oto też miejsce, gdzie rodzina w sojuszu ze wszystkimi swymi wspólnikami zabijając dokonuje – wraz z całą piramidą sprzymierzonych z nią w dziele tego zabójstwa podmiotów – aktu zbiorowego samobójstwa.

Niektóre aspekty tej supernowoczesnej wojny trzeba naświetlić.

1. Wojnę tę toczą ludzie silni z ludźmi zupełnie bezsilnymi, a więc w sposób oczywisty niezdolnymi do agresji i właśnie dlatego w sposób oczywisty niewinnymi. Już samo to rozstrzyga definitywnie o moralnej kwalifikacji tej wojny. Nie może tu w ogóle wchodzić w grę okoliczność obrony innych lub samoobrony przed agresją nastającego na życie napastnika. Uśmiercanie tych istot ludzkich staje się więc nieuchronnie aktem – nie dającego się niczym moralnie usprawiedliwić – mordu.

2. Ilość ofiar tej wojny przekroczyła ilość ofiar wszystkich dotąd prowadzonych wojen, przy czym dysproporcja ta rośnie w zatrważający sposób

dosłownie co minutę. W Polsce co minutę padają – statystycznie – dwie jej ofiary. Dokonuje się to teraz. W czasie, kiedy my obradujemy, ma miejsce egzekucja.

3. W wojnie tej ma swój pierwszoplanowy udział – gdy idzie o wykonawstwo zdecydowanego wcześniej wyroku śmierci – armia ludzi, którzy wedle swego powołania i dotychczas uznawanych zasad swej deontologii, mają służyć ochronie życia i zdrowia człowieka. Chodzi tu więc o całą rzeszę ludzi i stojących za nią społecznych instytucji, jak medycyna – i jako nauka, i jako sztuka, oraz związany z nią przemysł medyczno-farmaceutyczny. *Śmierć jest moim rzemiosłem* – ten tytuł książki R. Merle'a poświęconej R. Hoessowi daje się tu przenieść na ludzi, których profesja – jeśliby wierzyć składanej w jej imię przysiędze – zobowiązuje do służby życiu.

4. Od niedawna wojna ta toczy się w majestacie tych instytucji prawnoustrojowych, na których zbudowane jest nowoczesne państwo demokratyczne, zwłaszcza zaś system prawodawstwa, a dalej system oświaty i edukacji narodowej, czyli instytucji, które – w szczególności demokratyczne ustawodawstwo! – uchodzą za wyraz szczytowych osiągnięć myśli Oświecenia i kultury politycznej Zachodu, proklamowanych w hasłach Rewolucji Francuskiej: wolności, równości i braterstwa wszystkich ludzi.

5. I wreszcie, by spojrzeć na to wszystko raz jeszcze w perspektywie punktu wyjścia, wojnę tę wypowiedzieli ludzie, o których tu cały czas mowa, nie jakimś swoim wrogom, ludziom dalekim i obcym, lecz ludziom sobie możliwie najbliższym, owszem, najbliższym z najbliższych, bo z własnej „krwi i ciała zrodzonym", wypowiedzieli ją rodzice: matki i ojcowie – swoim własnym dzieciom. To z ich inicjatywy została nakręcona cała ta spiętrzona spirala społeczna, w wyniku której stało się możliwe podskórne panoszenie się totalitaryzmu w warunkach stwarzających wszelkie pozory panowania demokratycznego ładu i niczym nie zakłóconego światowego pokoju. Dicunt pax et non est pax...

Błyskawiczny przegląd niektórych punktów owej spirali absurdów – sprowokowanej decyzją rodzicieli zabicia tego, kogo rodzą – ujawnia, kto przede wszystkim staje się ofiarą ciosu wymierzonego w ich dziecko. Czy nie wystarczy samo postawienie tego pytania, by odkryć, iż żyjemy pośród społeczności ludzi moralnie umarłych? Oto czym się w wyniku tego działania staje nasze społeczeństwo. Tu już – jak widzimy – nie chodzi o to, o ilu jest nas w nim fizycznie mniej, tu chodzi o to, owszem, przede wszystkim o to, o kogo nas jest w nim więcej. Stajemy się społeczeństwem morderców, zbiorowiskiem „martwych dusz". Powiedziano: „drzewa umierają stojąc..." A ludzie? Mogą żyć – dostatnio i zdrowo – będąc umarłymi jako ludzie. Są, owszem, ludzkim zbiorowiskiem. Czy są ludzkim społeczeństwem? Wspólnotą osób?

Czym zatem staje się rodzina, zwłaszcza w perspektywie pytania: „Co z rodziną – źródłem życia, i rodziną – szkołą życia"? Myślę, że odpowiedź na

to pytanie widać bodaj najlepiej oczyma tych dzieci, które tragiczna prawda skazała na rozpoznanie w swych własnych rodzicach zabójców kogoś z ich grona, siostry, brata, i pytających: dlaczego nie mnie? A przecież to tylko jeden z wielu punktów – pierwszy, nie ostatni – do odpowiedzi na nasze pytanie.

Tak oto samobójczemu unicestwieniu ulegają kolejno instytucje, na których wznosi się cała struktura demokratycznego państwa, które winno chronić za pośrednictwem prawa podstawowe dobra i uprawnienia obywateli na obszarze podległym jego jurysdykcji. Fundamentem tych dóbr jest oczywiście dobro życia. Prawodawca, który w tym względzie wprowadza wyjątek, i to w odniesieniu do kategorii najsłabszych z obywateli, uderza w samą rację, która prawo czyni prawem, a państwo państwem. Prawo staje się legalnym bezprawiem, państwo zaś tegoż bezprawia pierwszym poplecznikiem.

Na mocy tegoż prawa lekarz, sługa życia i zdrowia ludzkiego, otrzymuje nominację do wykonywania odtąd zawodu państwowego kata. Jego profesją staje się odtąd wykonywanie wyroków śmierci, z tą jednak różnicą, iż nie będą to egzekucje wyroków orzekanych przez sąd w wyniku przeprowadzonego śledztwa, stwierdzenia przestępstwa i winy skazanego. Skazany bowiem do popełnienia przestępstwa zdolny w ogóle nigdy nie był. Skazany na śmierć zostaje na nią skazany nie dlatego, że jest winny...

A więc na podstawie czego został skazany na śmierć i przez kogo? I kto ponosi odpowiedzialność za skazanie na śmierć niewinnego? Kto za nią odpowie?

Wystarczy znowu postawić tylko te pytania, by obnażyć t o t a l i t a r n y c h a r a k t e r p a ń s t w a, które samo oddało swe – demokratyczne – struktury na służbę zmasowanego mordu milionów niewinnych istnień ludzkich. Totalitarne zachowania rodziców w stosunku do swego dziecka, zaaprobowane przez państwo, nie mogą dać innego wyniku, aniżeli ten, który dały. Nic w tym zresztą dziwnego: wszak to rodzice, którzy wybrali absurd w łonie swej rodziny, zdecydowali równocześnie jako obywatele społeczności państwowej, iż zyskał on potem legitymację ze strony ich państwa. Nie odbiera mu to ani o jotę znamienia absurdu, nie odbiera mu także jego samoniszczących mocy w stosunku do wszystkich podmiotów, które się nań decydują. W perspektywie... już nie tylko samozagłada rodziny, ale samozagłada państwa, samobójstwo demokracji i definitywny zmierzch kulturowy ludzkości.

Jak tej katastrofie zapobiec? Jak powstrzymać dzieło samozagłady ludzkości? Jak przeprowadzić skuteczną akcję ratunkową?

Cały czas pokazując diagnozę schorzenia wskazujemy na jedno jedynie możliwe wyjście z całej tej spirali zła prowadzącej do zbiorowego samobójstwa ludzkości. Oto jedyne wyjście: O s z c z ę d ź o f i a r ę, a o c a l i s z s i e b i e! Wyjście z kulturowej zapaści, w jakiej znalazła się ludzkość, która posunęła się do aktu zadeklarowania wojny o wszelkich znamionach totalita-

rnych, ukrytych pod welonem demokracji i wolności, jest tylko jedno. Prowadzi ono poprzez akcję uświadamiającą o tragicznym prawidle tej wojny, przez uświadomienie zabójcy, że jest samobójcą, oraz przez skłonienie go wszelkimi godziwymi środkami, by aktu swojego zaniechał, by zawrócił... By oszczędził siebie.

Zacząć trzeba od wielkiej akcji uświadamiającej. Pokazać to jedno: pierwszą i najbardziej tragiczną ofiarą gwałtu jest nie ten, kto go doznaje, lecz ten, kto go zadaje. My sami musimy zobaczyć, iż wcale nie pomagamy matce, gdy ułatwiamy jej wykonanie podjętego zamiaru, ale że pomagamy jej tylko wtedy, gdy potrafimy ją przekonać, iż jej własnemu dobru służy tylko poniechanie tego zamiaru. Pierwsze niejako, co sami musimy jasno widzieć i wiedzieć, by móc to z kolei innym unaocznić i przekonywająco przekazać, jest to, iż właściwie wcale tak nie jest, że to my rzucamy nienarodzonemu linę ratunkową, lecz przeciwnie – to on, nienarodzony, rzuca nam, tonącym, linę ratunkową. To on jest naszą szansą. Dajemy ją sami sobie wtedy i tylko wtedy, gdy jemu dajemy szansę.

Pozwoliłem sobie z tego powodu tak właśnie zatytułować jeden ze swoich artykułów: *Nienarodzony – miarą demokracji*[3]. Miara demokracji sprowadza się tu do przyjęcia i przejęcia się sokratejską zasadą: „Szczęśliwsza ofiara mordu od swego mordercy" – na wszystkich piętrach współczesnej „zmowy społecznej", jakiegoś „globalnego spisku" silnych przeciw bezsilnemu, przeciwko nienarodzonemu. Z tej perspektywy ukazuje nam współczesny nasz dramat książka Michela Shooyansa: *L'avortement – enjeux politiques*[4]. Biada! Nie temu, kto ginie z twych rąk. Biada tobie! „Nie pytaj, komu bije dzwon! Bije on tobie..."

Wielką nadzieję związaną z światłem promieniującym z tej sokretejskiej intuicji wiozłem w mej podróży ad limina polskiego areopagu. Mam na myśli mój występ wobec reprezentacji Senatu RP – w obecności trzech marszałków – w dniu 11 kwietnia 1990 r., w czasie którego powiedziałem: „Nienarodzony składa dziś w Wasze ręce – w imię dobra naszej odradzającej się Ojczyzny i moralnego ocalenia świata – «złoty róg». Tylko gdy on, nienarodzony, nie będzie się musiał lękać naszej demokracji, my nie będziemy się musieli lękać o naszą demokrację. I o los ludzkiej kultury"[5]. Jadąc na Wiejską, stawiałem na rozum w ogóle, a w szczególności na rozum wzbogacony dramatycznym doświadczeniem naszego kraju, doświadczeniem wolności w warunkach totalitarnej przemocy, doświadczeniem, które znalazło swój tak jednoznacznie czytelny i tak dramatycznie wymowny wyraz w wołaniu „Solidarności": „2

---

[3] „Ethos" 2 (1989) nr 2-3 (6-7) s. 241-255.

[4] Quebec 1990. Książka ta jest w tej chwili dostępna również w języku polskim: *Aborcja a polityka*, Lublin 1991.

[5] *W sprawie człowieka poczętego i nienarodzonego*, „Ethos" 3 (1990) nr 3-4 (11-12) s. 422.

+ 2 musi być zawsze cztery". Wszak znaczy to: kto gwałci rozum i prawdę, ten zadaje gwałt wolności, ten nie tylko innych niewoli, ten niewoli sam siebie; kto prawdę usiłuje poddać swej wolności, ten dokonuje aktu zwyrodnienia swej wolności w samowolę, ten deprawuje swe sumienie...

Nie taję więc, z jak wielkim zaskoczeniem usłyszałem potem z ust jednego z senatorów słowa: „Proszę Księdza, życie jest silniejsze od logiki. Ja nie będę ludzi zsyłał do podziemia". Czyli: mordujmy nadal niewinnych jawnie w majestacie prawa Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej? Ale w takim razie odpowiedzmy sobie sami, także tam na areopagu Rzeczypospolitej, dla kogo i od kogo, i w imię czego było to właśnie wołanie: „2 + 2 musi być zawsze cztery", na progu przełomowych wyborów? Dlaczego tam podkreślono nawet słowo „zawsze"? Na kogo i w imię czego oddaliśmy swe głosy w dniu 4 czerwca 1989 roku?

Przed pięciuset laty przywiózł z Krakowa na sobór do Konstancji ówczesny rektor Wszechnicy Jagiellońskiej przesłanie wyrażone hasłem „Plus ratio quam vis". Ostatnie pięćdziesiąt lat naszej historii to jedno wielkie zmaganie z totalitaryzmem o prymat rozumu nad siłą. Po co? Czy po to, by z ust senatora Rzeczypospolitej Polskiej można było usłyszeć w roku 1990, że siła faktu ma przeważyć nad mocą rozumu? Dziękujemy ci, Panie Senatorze, my: nascituri morituri – za tę odpowiedź.

Pawłowi na ateńskim areopagu powiedziano: Posłuchamy cię innym razem. Na warszawskim areopagu usłyszał z ust Senatora to samo Nienarodzony. Senator musi jednak wiedzieć, co powiedział z wysokości wyższej Izby Polskiego Parlamentu: wyznał swą totalitarną opcję uważając się za rzecznika wolności. Dziękujemy ci, Senatorze, za tę wolność dla silnych, która pozwala bez jakiejkolwiek prawnej ochrony odbierać życie nam, bezsilnym. Dziękujemy ci. Pamiętaj tylko, że „miałeś złoty róg..." Objawić taką ideę wolności, i tej idei bronić w momencie naszego Wielkiego Oświecenia: „2 + 2 musi być zawsze cztery" i wielkiej rozprawy „Solidarności" z światowym totalitaryzmem – to objawić zdumiewający nierozum. Objawić jednak ten nierozum po tak drogo okupionej nauce na temat wolności, to rzecz – by przypomnieć Piotra Skargę – gorsza od zbrodni...[6].

Jak długo trzeba nam będzie czekać jeszcze na chwilę ocknięcia?

W dniu 8 listopada 1990 r. Jacek Kalabiński donosił z Nowego Jorku dla „Gazety Wyborczej": „Prezydent George Bush, jako jedyny z 71 szefów państw i rządów zgromadzonych na nowojorskim szczycie na rzecz pomocy dzieciom, odmówił podpisania deklaracji końcowej, ponieważ nie zawierała potępienia aborcji".

Tyle doniesienie. Czy był to jedynie przypadek, czy też tylko kolejny krok na drodze determinacji Prezydenta we wcielaniu etycznej zasady niezbywalnego prawa człowieka do życia w polityce?

---

[6] Por. Piotr Skarga, *Kazania sejmowe*, Warszawa 1972, s. 666.

Pamiętamy przecież dobrze, jak zbulwersowało nas, Polaków, veto Prezydenta Busha wobec uchwały Kongresu w sprawie pomocy finansowej dla Polski, o którą do tegoż Kongresu zwrócił się nie kto inny, lecz właśnie on sam, George Bush. Dlaczegóż więc było to veto? I to w dodatku w kontekście tak spektakularnego wydarzenia, jakim było triumfalne wystąpienie Lecha Wałęsy przed Zgromadzeniem Narodowym Stanów Zjednoczonych? Cóż za nietakt – mogłoby się wydawać – wobec udręczonej Polski, wobec tak entuzjastycznie witanego i tak szczerze otaczanego wszelkimi oznakami czci i honoru Gościa z Gdańska przez samego Prezydenta i Społeczeństwo Stanów Zjednoczonych? I dlaczego ten gest niekonsekwencji w stosunku do własnego przecież wniosku do Kongresu? Zdumiewające, że polskie środki przekazu zechciały nie zauważyć, i nigdy nie wyjaśniły, tego powodu. Przypomnijmy więc ten powód: Kongres usiłował połączyć akt pomocy dla Polski z aktem finansowego wsparcia przez USA proabortywnej polityki krajów Trzeciego Świata, zwłaszcza Chin. Odpowiedź Busha była jasna i zdecydowana: nie będzie podpisu pod aktem, który oznacza wydanie wyroku na jedno niewinne dziecko, choćby na tym miała skorzystać tak bardzo skądinąd potrzebująca pomocy odradzająca się demokracja w Polsce.

Czy więc jest możliwa etyka w polityce?

Jest ona nie tylko możliwa – jest ona absolutnie konieczna. Jest moralnym imperatywem godziny dziejów.

Oto odpowiedź dla polityków dana przez polityka.

Ale dlaczego na 71 mężów stanu zebranych w Nowym Jorku znalazł się tylko jeden sprawiedliwy? I czy ten jeden sprawiedliwy, skoro jest sam jedyny pośród wszystkich, jest człowiekiem rozumnym? Czy też on jeden tylko okazał się rozumny właśnie dlatego, że odważył się być sprawiedliwy? Tak, jego odmowa na pozór nic nie zmieniła w świecie, który wciąż stawia na zasadę prymatu siły nad słusznością. Ale ten jeden głos na nowojorskim szczycie to zapowiedź przełomu w historii świata. Ten głos zapoczątkował najważniejszy proces w dziejach współczesnego świata[7]. Osąd trwa...

Ma on pewien – omnibus proportionibus servatis – precedens w dziejach. W kontekście sprawy Alfreda Dreyfusa nastąpił przełom w chwili, gdy z ust Emila Zoli padło decydujące słowo: J'accuse! – pod adresem wszystkich odpowiedzialnych za oblicze moralnopolityczne Republiki Francuskiej. Żyd to człowiek! Pisze o tym Hannah Arendt w *Korzeniach totalitaryzmu*[8]. Do-

[7] Ostatnio odnotowaliśmy nowy ważki w tej sprawie głos. Król Belgii Baudouin abdykował w dniu 30 marca 1991, by uroczyście zaprotestować przeciwko przedstawionej mu dnia poprzedniego do podpisu uchwale belgijskiego parlamentu legalizującej aborcję. Por. w tej sprawie T. Styczeń SDS: *Królewskie „Nie"*, „Niedziela" 20 X 1991, nr 42, s. 6; por. również M. Schooyans, *Aborcja a polityka*, Lublin 1991, s. 73-79.

[8] Por. H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, Warszawa 1989, t. I, cz. 1, *Antysemityzm*, rozdz. IV, *Sprawa Dreyfusa*, s. 75-96. Sama H. Arendt kończy swą książkę o korzeniach totalitaryzmu w sposób godny uwagi: „Jednak pozostaje prawdą również to, że w dziejach każdy koniec nieuchronnie kryje w sobie nowy początek; ten początek jest obietnicą, jedynym «prze-

powiadam moim współczesnym: nienarodzony to człowiek. To samo słowo: Oskarżam – wypowiedział George Bush bezsłownym gestem odmowy złożenia podpisu tam, gdzie widniały podpisy wszystkich jego kolegów. Czy słowa tego nie trzeba nam tu w Polsce wypowiedzieć? Trzeba, gdyż gest Busha próbuje się tu ukryć. Wypowiadam więc w imieniu wszystkich niewinnych skazanych na śmierć w majestacie Prawa Rzeczypospolitej Polskiej z całą odpowiedzialnością to słowo:

Oskarżam! Nienarodzony to człowiek. Homo!

Wszystko to domaga się przypomnienia, by widzieć i wiedzieć, jak ogromne zadanie stoi przed tymi, którzy chcą podciąć dziś korzenie współczesnego totalitaryzmu. Muszą oni sami najpierw dostrzec, jak głęboko ten korzeń wrósł, jak bardzo się okopał, jak zwodniczą i uwodzicielską bronią się posługuje: będąc największą z możliwych twierdz totalitaryzmu broni swej twierdzy ideologią wolności... I demokracji.

Jestem do głębi przeświadczony, że w sytuacji, w której rodzina, zamiast być źródłem życia i jego szkołą, stała się największym polem bitewnym niszczenia życia, wciągającą w dzieło zabijania wszystkie struktury społeczne szkołą śmierci, instytuty tego rodzaju, jak Instytut Studiów nad Rodziną w Łomiankach kierowany przez biskupa Kazimierza Majdańskiego, stają się placówkami powołanymi do przejęcia absolutnie pierwszoplanowego zadania wobec ludzkości. Stają się po prostu ministerstwami kultury par excellence. Uniwersytetami par excellence.

Oby wielkość wezwania oraz rozmiary prowokacji, na jakie próbowałem zwrócić uwagę, nie demobilizowały, lecz mobilizowały. Nie mamy wyjścia. Żeby nie zdradzić, „trzeba się uczciwie pchać" – powiedział współczesny mędrzec. Ten, którego bronimy, nie pochwali nas, bo dysponuje tylko „niemym krzykiem". Ci, przed którymi go bronimy i o których walczymy – bo przecież nie z nimi! – mają wszelkie dane, by zagłuszyć nasz głos. Ale mimo to nie jesteśmy sami. Sprawa, o którą walczymy, to nie tylko ludzka sprawa. To także Boża sprawa w człowieku. Pośród nas stanął i z nami jest Ten, któremu nie było za daleko do ocalenia człowieka przebyć drogę nieskończenie długą: przybyć z nieba na ziemię, by ziemię ludzi uczynić ludzką ziemią. Robiąc to, co zamierzamy robić, kontynuujemy tylko dzieło, które On w nas rozpoczął. On go też w nas dokona. A to niezwykła sprawa, móc być tego Jego dzieła sługami. Pan z nami! Dominus nobiscum. Apparuit humanitas Salvatoris...

---

kazem», jaki koniec może kiedykolwiek stworzyć. Zanim początek staje się wydarzeniem historycznym, jest najwyższą umiejętnością człowieka; pod względem politycznym jest identyczny z ludzką wolnością. «Initium ut esset homo creatus est» – «człowiek stworzony został po to, aby uczynić początek», powiedział św. Augustyn (*De Civitate Dei*, ks. 12, rozdz. 20). Ten początek gwarantują każde nowe narodziny; tym początkiem jest doprawdy każdy z ludzi".